Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok III. Kraków, dnia 7. Lutego 1909 r. Nr. 6.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do p. Bolesława Jankowskiego w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Ubezpieczenie robotników i pracowników samodzielnych.

Od pos. dra Antoniego Górskiego, zasłużonego przedstawiciela spraw rolniczych w Sejmie i przed forum wiedeńskiem, otrzymujemy następujące uwagi.

Jak czytelnikom Roli wiadomo, rząd przedłożył parlamentowi do uchwalenia projekt ustawy o powszechnem ubezpieczeniu robotników i pracowników samodzielnych. Jest w tym projekcie dużo rzeczy dobrych, ale są i złe, a przedewszystkiem jest obawa, że kraj nasz nie podoła ciężarom, które ten projekt na nas wkłada, a które idą w liczne miliony. Czyniąc zadość życzeniu redakcyi *Roli* pragnę jej czytelników w najogólniejszym zarysie i bardzo treściwie z projektem tym zaznajomić. Pomijam wszystkie suche obliczenia, wszelkie postanowienia, które zmianie w toku obrad ulegną i ograniczam się do kilku pytań zasadniczych.

Przedewszystkiem stwierdzam, że pytanie, czy w pewnej wsi lub w całym kraju dużo jest osób takich, które na życie zarobić swą pracą nie mogą, jest dla ogółu społeczeństwa

niesłychanie ważnem.

To nie jest rzecz, w której byłby interesowany chory Bartłomiej lub kaleka Agnieszka, ale rzecz, która nas wszystkich, co w tym kraju żyjemy i ten kraj kochamy, jak najwięcej obchodzi, i to nietylko jako chrześcian, obowiązanych do miłości bliźniego, ale także jako Polaków pragnących, żeby wszystkim naszym rodakom jak najlepiej się działo, żeby kraj cały był jak najzamożniejszy. Z tego zapatrywania płynie prosto wniosek, że powinniśmy popierać wszelkie dążenia zmierzające do tego, żeby ludzie chorzy, niedołężni i starcy, mieli zapewniony kawałek chleba, nie cierpieli głodu i nie byli narażeni na wyrzucenie z domostwa przez złą synowę. Wszak już dzisiejsze ustawodawstwo gminne zobo-

wiązuje gminę do dania przytułku i utrzymania ubogim do gminy przynależnym; jeśli dotąd gmina spełniała ten obowiązek, jak to mówią; „aby zbyć“, jeśli ubogi człowiek dotąd otrzymywał wsparcie w wysokości kilku koron rocznie, a nasłuchać się musiał za to łajań i wyzywań bez końca — to jeszcze nie znaczy, że stan taki ma trwać wiecznie, i że gdy wszyscy dążą do poprawy swego losu, poprawa taka dla niedołężnych i starców ma być na zawsze wykluczona.

Z drugiej jednak strony słusznie mówi przysłowie: „z próżnego nie naleje“. Do dziś dnia niejeden człowiek zdrów i pracowity cierpi niedostatek z powodu braku zarobku lub nieurodzaju, a więc „według stawu grobla“, niepodobną jest rzeczą więcej się troszczyć i lepsze dawać utrzymanie niedołęgom, niż ludziom, co w pocie czoła pracują, albo nakładać na pracujących nadmierne opłaty i ciężary na korzyść starców i kalek. Jakże te sprzeczne interesy pogodzić? Trudność wydaje się nie do przezwyciężenia, a jednak sprawa jest tak ważna, dotyczy tylu tysięcy osób, że jakieś wyjście znaleść trzeba koniecznie.

Po bliższem rozpatrzeniu rzeczy, znajdziemy sposób uczynienia zadość i interesom warstw pracujących i obowiązkowi opiekowania się ubogimi. Tylko nie trzeba odrazu porywać się na usunięcie wszelkich bied i nieszczęść ludzkich, ale trzeba zadanie, które mamy do spełnienia, podejmować

stopniowo, w miarę sił i zasobów.

Tych, co dzisiaj cierpią głód lub niedostatek, musimy pozostawić miłosierdziu chrześcijańskiemu i opiece gminy, w której oni mają prawo przynależności, a za to powinniśmy wszystkie nasze starania koło tego skupić, żeby na przyszłość tym biedom i nieszczęściom zapobiedz, mianowicie, żeby ułatwić odłożenie na czarną godzinę jakiegoś grosza tym, co dzisiaj jeszcze są silni i zdrowi, ale za lat kilka czy kilkanaście utracą siły i zdrowie, zniedołężnieją i wyciągać rękę o jałmużnę będą musieli, jeśli zawczasu przeciwko tej złej doli się nie zabezpieczą.

Na złą dolę i utratę zarobków

narażony jest człowiek: 1) przez chorobę, to jest przez krótkotrwały brak zdrowia; 2) przez kalectwo, starość lub stałą nieuleczalną chorobę, czyli krótko mówiąc przez niedołęstwo fizyczne; 3) dzieci, a po części wdowa może popaść w ubóstwo przez śmierć ojca rodziny. Wymienione tu trzy przypadki są w życiu tak częste, że przeciw nim obronić się nie możemy; każdy z nas od czasu do czasu choruje, każdy umrzeć musi. Możemy jednak pewną ofiarą pieniężną z naszej strony odwrócić złe skutki choroby, niedołęstwa lub śmierci, które polegają na utracie zarobku dla nas lub naszej rodziny, zupełnie tak samo, jak za pewną opłatą roczną możemy zapobiedz majątkowej stracie, któraby nas wskutek pożaru lub gradobicia spotkać mogła. Na tem polega t. zw. ubezpieczenie od wypadków, chorób, na wypadek niedołęstwa, starości lub śmierci.

Chodzi tylko o to, żeby „skórka starczyła na wyprawę“, to jest żeby opłaty za to ubezpieczenie nie były tak wielkie, iżby dobrodziejstwo ubezpieczenia czyniły niedostępnem. Powtóre chodzi o to, że trzeba dobrze się nad tem zastanowić, czy wprowadzenie takiego ubezpiezpieczenia w życie pozostawić do woli osób, które ubezpieczyć się zechcą, czy też zrobić je przymusowem, to znaczy ustawowo nakazać każdemu pracującemu, żeby pewną opłatę tygodniowo lub miesięcznie składał na rzecz swego ubezpieczenia od chorób lub na starość.

Na to, że

opłaty nie powinny być zbyt wysokie,

godzimy się wszyscy. Rząd austryacki nie chcąc zaprowadzać zbyt wygórowanych opłat, proponuje takie załatwienie sprawy. Koszta ubezpieczenia od chorób będą ponosić wspólnie robotnicy i pracodawcy, natomiast każdemu ubezpieczonemu robotnikowi, który stanie się stale niezdolnym do pracy wskutek starości, nieszczęśliwego wypadku lub choroby, dopłacać będzie rząd ze swoich własnych funduszów po dziewięćdziesiąt koron rocznie jako dodatek do takiej rocznej płacy (renty), do jakiej ubezpieczony na mocy uskutecznionych przez siebie opłat jest uprawniony. Rząd oblicza, że ten dodatek ze strony państwa w razie uchwalenia ustawy wynosić będzie w pierwszych latach po dwa miliony koron rocznie; po upływie ośmiu lat już dwadzieścia pięć milionów rocznie, po upływie 40 lat aż 93 miliony koron rocznie! Nie mówi jednak rząd, skąd te pieniądze weźmie i czy nie zaprowadzi nowych bardzo uciążliwych podatków na pokrycie tak znacznego wydatku.

Przymus czy dowolne ubezpieczenie?

Jeszcze ważniejszem jest pytanie, czy należy zaprowadzić, tak jak to rząd zamierza, przymus ubezpieczenia dla wszystkich osób, które mają dochód roczny niższy od 2.400 koron, czy też ograniczyć przymus ubezpieczenia na robotników, a małym rolnikom, kupcom i rzemieślnikom zezwolić tylko na korzystanie z powszechnego ubezpieczenia, jeśli sami tego będą chcieli. Trudno tę rzecz dorywczo rozstrzygnąć; trzeba, żeby ci, których to dotyczy, a więc mali rolnicy, drobni kupcy i rzemieślnicy sami nad tą sprawą się zastanowili i powiedzieli, czego sobie życzą. Warstwy robotnicze, a mianowicie tak robotnicy fabryczni i przemysłowi, jak i robotnicy rolni, od parobka i gumiennego począwszy aż do zwykłego dziennego najemnika, życzą sobie tego ubezpieczenia, bo na nich opłaty wypadną niskie z tego powodu, że część opłat będzie za nich ponosił pracodawca. Natomiast samodzielny pracownik, naprzykład włościanin lub rzemieślnik, sam jeden będzie musiał opłaty na ubezpieczenie za siebie uiszczać, bo on niema pracodawcy, na którym ten obowiązek by ciężył. Co więcej, rząd w projekcie ustawy chce nałożyć na takiego samodzielnego pracownika obowiązek, żeby on nie tylko za siebie, ale także za wszystkich członków swojej rodziny, którzy lat 16 przekroczyli i w gospodarstwie lub rzemiośle mu pomagają (z wyjątkiem żony), składał opłaty na ubezpieczenie na starość. Natomiast nie poddaje rząd tych samodzielnych pracowników i członków ich rodzin przymusowi ubezpieczenia na wypadek choroby, ani na wypadek niedołęstwa, ponieważ pociągnęłoby to za sobą zbyt wygórowane opłaty. Tak więc rolnik, kupiec, rzemieślnik, płacić mają przez całe życie, aby dopiero po skończeniu 65 lat coś za to ubezpieczenie dostać, choćby pierwej popadli w nieuleczalną chorobę! Natomiast robotnik fa-

bryczny czy rolny otrzyma swoją rentę, także w razie w cześniejszej niezdolności do pracy i wsparcie podczas choroby.

Co ma się płacić?

Trzeba z osobna rozpatrzeć, ile według rządowego projektu miałby na powszechne ubezpieczenie płacić robotnik (łącznie z swoim pracodawcą), a ile samodzielny pracownik, tudzież co każdy z nich za te swoje optaty by dostał.

Robotnik zarabiający dziennie od 80 halerzy do 1 K 20 h., to jest 240—460 koron rocznie, podlegałby na rzecz ubezpieczenia od chorób tygodniowej opłacie około 30 halerzy, czyli około 15 koron rocznie, z których on sam musiałby płacić dwie trzecie części, czyli 10 koron, pracodawca zaś jedną trzecią, czyli 5 koron. Za to dostawałby: zapomogę na dzień choroby 60 halerzy, opiekę lekarską i lekarstwa za darmo, a na wypadek śmierci dostałaby jego rodzina zapomogę na koszta pogrzebu w kwocie 24 koron. Na ubezpieczenie na starość i na wypadek niedołęstwa musiałby robotnik taki płacić przez szereg lat po 24 halerze tygodniowo, czyli 12 koron rocznie; za to otrzymałby po upływie szeregu lat stałą roczną płacę (rentę) w kwocie co najmniej 150 koron rocznie, a na wypadek jego śmierci wdowa dostałaby jednorazowo te 150 koron, a każde dziecko poniżej 16 lat jednorazowo przynajmniej połowę tej kwoty. Jeżeli robotnik ten pracuje w zakładach, obowiązanych do ubezpieczania robotników od nieszczęśliwych wypadków (we fabrykach, kopalniach, młynach, przy młocarniach itd.), to będzie pobierał na wypadek kalectwa znacznie wyższe odszkodowanie, niż według dzisiaj obowiązujących przepisów. Jesli zarabia i płaci na ubezpieczenie kwoty wyższe niż tu podano, to uzyskuje także wyższe renty i zapomogi.

Jakkolwiek obliczenia te nie są ścisłe i łatwo zdarzyć się może, że robotnik będzie musiał za swe ubezpieczenie płacić więcej, niż rząd przypuszcza, to jednak nie ulega wątpliwości, że

dla robotników

ubezpieczenie takie jest wogólności bardzo potrzebne i korzystne. Robotnik, póki jest zdrów, pracuje dla swego pracodawcy; na czarną godzinę pieniędzy odłożyć z powodu małego zarobku nie może albo nie umie i kończy często w nędzy. Słusznem więc jest, że państwo, ze względu na wybitny inteteres publiczny zmusza robotnika, aby część zarobku na cele ubezpieczenia odkładał, zmusza pracodawcę, żeby także część opłat za robotnika uskuteczniał.

Inaczej się rzecz przedstawia

z samodzielnymi pracownikami

jak rolnikami, kupcami, rękodzielnikami. Rząd chce im zapewnić dobrodziejstwo ubezpieczenia na wypadek starości, nie zaś na wypadek niezdolności do pracy, choroby i nieszczęśliwych wypadków, a to jak zaznaczyliśmy, z obawy, żeby opłaty nie były dla nich za wysokie. A jednak są one wysokie. Ci pracownicy, których dochód roczny przekracza 480 koron, mają opłacić na cele ubezpieczenia 12 koron rocznie; ci, którzy mają dochód niższy, płacić mają 6 koron rocznie i dostaną rentę cokolwiek niższą. Za 6 lub 12 koron rocznie zabezpieczyć sobie na wypadek przekroczenia 65 roku życia stałą rentę, wynoszącą co najmniej 120 koron rocznie, — to wydawałoby się niezłym interesem. Ale projekt ustawy nakazuje samodzielnemu pracownikowi uiszczać taką opłatę także za każde dziecko, więcej niż 16 lat mające i w gospodarstwie zajęte; w licznej rodzinie musiałby więc ojciec nieraz nawet przeszło 50 koron rocznie płacić. Skoro opłata będzie tak znaczna, to trzeba koniecznie projekt ustawy w tym kierunku zmienić, żeby taki samodzielny pracownik otrzymał rentę nietylko po dojściu do 65 lat życia, ale także pierwej, jeśli się stanie niezdolnym do pracy. Powtóre zachodzi obawa, że ten, co z powodu biedy, wyjazdu za granicę lub lekkomyślności przestanie opłaty uskuteczniać, zostanie zupełnie wszelkich praw z ubezpieczenia płynących pozbawiony. Istnieje dalej obawa, że koszta martwe, mianowicie na potrzeby kancelaryjne i urzędników pochłoną wielkie sumy; obawa, że niejeden przestanie szczędzić i odkładać, bo wie, że w najgorszym nawet wypadku nie czeka go żebraczy chleb, ale dość poważna renta.

Mojem zdaniem nie należy projektu rządowego wprost odrzucać, ale

dokładnie się z nim zapoznać,

rozważyć wszystkie dobre i złe strony i starać się o wprowadzenie niezbędnych zmian i poprawek. Myśl w projekcie rządowym poruszona jest bowiem słuszna, ale bez znajomości stosunków w naszym kraju panujących przeprowadzona. W takiej postaci, jaką ma obecnie, projekt ustawy krzywdzi rolników, a więc uchwalonym być nie może. Niech każdy, komu dobro polskiego rolnictwa leży na sercu, powie, jakich poprawek sobie życzy, a przy zgodnem współdziałaniu wszystkich, oddzielimy kąkol od ziarna i doprowadzimy do tego, że nowy ulepszony projekt wyjdzie nie na szkodę, ale na korzyść rolników.

Wiedeń 1 lutego 1909.

Antoni Górski
poseł na Sejm i do Rady Państwa.

Listy od rolników.

Mogilany 1 lutego.

Rolnicy przy wspólnej pracy.

Dnia 17 stycznia b. r. odbyło się w Mogilanach doroczne Walne zgromadzenie członków „Kółka rolniczego“ przy udziale licznie zebranych członków, jak również tut. x. proboszcza Walentego Piotrowskiego, pp. Tadeusza Massalskiego, N. Grojeckiego, Józefa Piotrowskiego kierownika szkoły w Mogilanach i wielu zaproszonych włościan z okolicznych gmin. Uzupełniając zamieszczone już w *Roli* sprawozdanie, przesyłam kilka szczegółów.

Po zagajeniu zebrania przez przewodniczącego p. Jana Surówkę i odczytaniu protokołu z ostatniego Zgromadzenia, imieniem komisyi kontrolującej p. Stanisław Konopka przedłożył z wyjaśnieniami sprawozdanie rachunkowe i bilans za rok 1908, który przyjęto do wiadomości z uznaniem dla zarządu, stawiając wniosek o udzielenie zarządowi

wotum zaufania, co też zgromadzeni członkowie jednomyślnie uchwalili.

Następnie sekretarz Kółka zdał sprawozdanie z czynności kółkowych za rok 1908, podnosząc z uznaniem, że większa część przytoczonych poniżej spraw była dziełem bezinteresownej pracy p. Stanisława Konopki, który nie usuwał się przed niczem, nie zrażał się że go spotka może niechęć ze strony członków nieświadomych rzeczy, ale szedł naprzód i doprowadził do tego, że z jego inicyatywy członkowie Kółka z wiosną ubiegłego roku wysłali kilkanaście sztuk trzody chlewnej na wystawę do Wiednia, które zostały dobrze sprzedane, oprócz tego każdy z wysyłających członków otrzymał 29 koron jako premię, zaś 6-ciu członków kosztem Kółka zwiedziło wspomnianą wystawę. Założoną została mleczarnia dworska Związkowa do której dostarczają mleka także niektórzy członkowie z Mogilan i okolicznych wsi.

W maju ubiegłego roku został założony jeden z pierwszych w kraju „Związek producentów bydła rzeźnego i tucznej trzody", przez który to Związek w ciągu kilku miesięcy zostało sprzedanych sztuk za kilkanaście tysięcy koron, i mimo różnych sztuczek i przeszkód ze strony „przelewaczy" znakomicie się rozwija, i coraz więcej zyskuje zaufania w okolicy.

W tymże roku 1908 urządzono loteryę na rzecz Kółka, z której czystego zysku pokryto dom kółkowy dachówką i zaopatrzono nowemi blaszanemi rynnami i poczyniono najpotrzebniejsze reperacye.

Dnia 25 marca urządziło Kółko wieczorek „Kościuszkowski" przy wielkim udziale zaproszonych z okolicy inteligencyi duchowieństwa i włościan. Po słowie wstępnem i powitaniu przybyłych przez przewod. Kółka, deklamacya „pogrzeb Kościuszki" wypowiedziana z uczuciem przez Szymona Kiebułę włość. z Mogilan, śpiew pieśni patryotycznych odśpiewanych przez włościan z Modlnicy pod kierunkiem p. nauczyciela I. Flisa i odczyt wygłoszony przez prof. Magierę, a na zakończenie obrazy świetlne z latarnią magiczną reprodukowane bezinteresownie przez p. Zygmunta Konopkę z Modlnicy, zajęły umysły obecnych szczególnie włościan że w sercach wdzięcznych miłe wspomnienia na długo pozostaną. Na zakończenie sprawozdania oznajmia sekretarz Kółka że w ubiegłym roku kilku członków przeprowadziło próby ze zbożem i ziemniakami przysłanemi z „Zakładu Doświadczalnego Uniwersytetu Jagiellońskiego", ale w tym roku ciągłych deszczów z wyników próby dokładnych cyfr przedłożyć się nie da.

Z porządku dziennego p. Stanisław Konopka rzucił myśl założenia w Mogilanach Spółki handlowej, streszczając w krótkich ale zrozumiałych słowach znaczenie i cel takich Spółek.

Zgromadzeni chętnie zgadzają się na założenie takiej Spółki handlowej, co im też inicyator w krótkim czasie uczynić przyrzeka.

Na zakończenie Zgromadzenia wygłosił odczyt „o przyczynach upadku Polski" p. I. Flis nauczyciel z Modlnicy, który w pięknych i jędrnych słowach z uczuciem wypowiedzianych, przekonał słuchających że tylko wspólną pracą, łącznością, popieraniem co swoje a dobre, trzeźwością i miłością ojczyzny naszej, Polski, podźwignąć się możemy z upadku i lepszą przyszłość zgotować dla Ojczyzny i narodu. Zgromadzeni z uniesieniem i serdecznością dziękowali szanownemu prelegentowi za prace podjęte nad uświadamianiem ludu, prosząc o pamięć o Mogilanach. *Walenty Krawczyk*, sekretarz Kółka.

Jednajcie nowych czytelników,
By rosła siła wśród rolników!

Szkoła opiekunką ptaszków w zimie.

Szkoła posiada wielką ilość środków pedagogicznych, które stosownie użyte, wywierają zbawienny wpływ na wychowanie i uszlachetnianie dziatwy. Do podobnych środków pedagogicznych, zbawiennych w swych skutkach należy opieka nad głodnymi ptaszkami w zimie. W krajach więcej ucywilizowanych, jest ochrona ptaków śpiewających i pożytecznych tak głęboko zakorzeniona że pouczenia w szkole stają się prawie zbyteczne.

Dzieci widzą tam na każdym kroku różne urządzenia mające na celu ochronę ptaków pożytecznych. W sadach spotyka się tam gotowe gniazdeczka sztuczne, a każdy obywatel poczuwa się do obowiązku do oddania w ręce policyi ptaszników, sprzedających ukradkiem ptaki śpiewające. Wybieranie gniazd, pastwienie się nad pisklętami ptasimi jest tam nieznane. W zimie urządzają po wsiach i miastach stałe żerowiska dla tych ptasząt, które ojczyzny nie porzucają i nie odlatują w cieplejsze kraje.

To też litość ta dla tych małych stworzeń bożych odpłaca się obfitym zbiorem owoców. Że litość ta wobec ptasząt i w ogóle zwierząt przyczynia się do spotęgowania miłości bliźniego, do litości dla biednych i nieszczęśliwych nie potrzeba zdaje się i upewniać. I u nas w wielu szkołach istnieje ten chwalebny zwyczaj, że dziatwa za poradą nauczyciela zbiera okruszyny z chleba, zjadłszy na pauzie z apetytem przyniesiony z domu posiłek a czasem przynosi okruszyny z domu, i zesypuje je na oczyszczonem że śniegu miejscu w ogrodzie szkolnym lub na podwórzu i urządza tym sposobem biesiadę dla ptactwa. Słowo nauczyciela skierowane do dziatwy w tym duchu, działa jak iskra elektryczna i w lot w czyn się zamieni. Jest to dobra sposobność powtórzyć z dziećmi, które to ptaszki ziemię ojczystą najbardziej kochają i nigdy nas nie opuszczają, czem są pożyteczne, dlaczego należy je ochraniać. Jesteśmy pewni, że te dzieci, które znoszą okruszyny dla ptasząt, lub też urządzają u siebie w domu dla nich posiłek, nie będą nigdy zdolne wybierać na wiosnę gniazdeczek, lub też wyłapywać ptaszki na samotrzaski i sieci.

Żadna powiastka choćby najsprytniej ułożona o psotniku, który wybierając gniazda spada z drzewa i łamie sobie nogę i t. p. nie odniesie tego skutku, co czynna pomoc ptaszętom w zimie. Obok pożytku materyalnego, który osiąga się przez ochronę ptasząt w zimie, o wiele potężniejszy i donioślejszy jest wpływ moralny na dziatwę. Tu poznają dzieci, że skoro głodne ptaszęta potrzebują opieki i pomocy o ile bardziej pamiętać należy o głodnych ludziach, niezdolnych zapracować na kawałek chleba... Opieka

nad ptaszętami, nie pozostanie bez wpływu na uczucie religijne dzieci, same bowiem spostrzegą, że współdziałają z opatrznością, Boską, która według słów Zbawiciela „karmi i utrzymuje ptaki niebieskie, które nie sieją i nie orzą".

Dzieci nauczą się przez to nie tylko litować się nad biednymi, ale spieszyć im z czynną pomocą bo to co dziecko czyni z pobutki nauczycitela dla ptasząt uczyni z własnej pobudki wobec biednego i chętnie odejmie sobie od ust zbyteczny kawałek chleba, a odda je łaknącemu. Dalej przejmie się dziecko myślą, że wszyscy ludzie wspierać się i wspomagać powinni w potrzebie, a zwłaszcza ludzie sobie najbliżsi tej samej gminy, tego samego kraju tego samego narodu, co nie pozostanie bez wpływu na kształcenie uczuć patryotycznych i na rozbudzenie większego uczucia plemiennej łączności i jedności.

Wy więc rodzice pamiętajcie o tem, że szkoła i dom wasz powinny iść w parze ze sobą, przez co praca nad wychowaniem przyszłych obywateli Polaków bardziej ułatwioną i w błogi skutki obfitszą będzie. *Ignacy Flis*,

kierownik szkoły w Modlnicy.

W obronie rolników.

Na ostatniem posiedzeniu krakowskiego Tow. rolniczego poruszono wiele bardzo ważnych kwestyi. Między innemi kwestyę zamierzonej przez rząd reformy taryf kolejowych, która polegać będzie głównie na ich podwyższeniu. Rolnictwo interesowane głównie w przewozie towarów o wielkiej objętości i ciężarze, a małej wartości, szczególniej jest tą reformą zagrożone. Z jednej strony bowiem wzrosną koszta produkcyi przez podrożenie przewozu maszyn, narzędzi, nasion, pasz treściwych, a zwłaszcza nawozów sztucznych, z drugiej strony utrudnioną będzie przez to konkurencya płodów rolniczych, wywożonych na odległe rynki zbytu, jak zboża, bydła, mięsa, mleka, masła, jaj i t. d.

Na wniosek posła Dra Górskiego, Komitet Tow. udzielił dyrektywy swoim delegatom do komisyi i państwowej Rady kolejowej, aby nie dopuszczali do podwyższenia taryfy kolejowej na płody rolnicze i artykuły do gospodarstwa rolnego potrzebne, stanowczo zaś oparli się zwyżce kosztów transportu od nawozów pomocniczych, zwłaszcza: wapna, jakoteż ściółki torfowej.

Sprawę z czynności krajowego komitetu, utworzonego przy namiestnictwie dla złagodzenia skutków zeszłorocznych klęsk żywiołowych zdawał p. Czecz. W dyskusyi p. E. Maurizio wskazał na potrzebę dostarczenia ludności włościańskiej ziarna i ziemniaków do siewu wiosennego. Przygotowania muszą być bezzwłocznie poczynione, inaczej pomoc będzie spóźniona, a szkoda tem większa, że wiele gruntów przeznaczonych pierwotnie pod oziminę, z powodu deszczów i przedwczesnej zimy, pozostało nieobsianych i muszą być na wiosnę obsiane.

P. Sroczyński wskazując na szerzącą się w powiecie dąbrowskim zarazę, powstałą wskutek złej i niedostatecznej paszy, żądał rozdziału soli bydlęcej w dostatecznej ilości.

Dr. A. Jordan wykazał, że akcya ratunkowa wymaga większych środków, niż je dotąd namiestnictwo na ten cel przeznaczyć mogło. Ludności należy ułatwić nabywanie paszy przez Towarzystwa rolnicze. Obecnie bowiem po za akcyą zapomogową odbywa się bardzo żywy obrót paszą, pozostający prawie wyłącznie w rękach spekulantów. Należy więc Towarzystwom rolniczym dać środki, aby za pomocą swoich oddziałów handlowych, mogły uchronić ludność od wyzysku.

Pp. Żeleński i hr. Rey uzasadniali konieczność zniżki transportowej przy sprowadzaniu ziemniaków. P. J. Cieślewicz żalił się na uciążliwe i kosztowne formalności, wymagane przy zaciąganiu pożyczek zapomogowych. P. Wł. Kępiński żądał przyspieszenia rozdziału otrąb w pow. żywieckim, a p. Żuk Skarszewski w pow. limanowskim.

Komitet Tow. postanowił ponownie sprawę przedstawić osobnym memoryałem p. namiestnikowi, Kołu polskiemu i ministerstwu rolnictwa, spraw wewnętrznych i skarbu.

Zajmowano się też sprawą handlu bydłem. Jako zasady przy organizacyi handlu bydłem rzeźnem i trzodą chlewną, zatwierdzono następujące uchwały ankiety, odbytej 7 bm. a złożonej z delegatów głównego zarządu Towarzystwa Kółek rolniczych, dyrektora krajowego patronatu dla spółek rolniczych, członków sekcyi handlowej przy komitecie, oraz przewodniczących wszystkich związków sprzedaży trzody w zachodniej Galicyi:

1) Organizacya powinna być terytoryalnie jednolita. 2) Pośrednictwo handlu bydłem i nierogacizną w zachodniej Galicyi powinno być scentralizowane przy Komitecie Towarzystwa rolniczego krakowskiego. 3) Głównemu zarządowi Towarzystwa Kółek rolniczych powinno być przyznane prawo ingerencyi na centralną organizacyę w zachodniej Galicyi, a to przez wysyłanie stałego delegata do komisyi handlu bydłem rzeźnem, z głosem stanowczym według wydać się mającego osobnego regulaminu. 4) Peryodycznie powinny się odbywać wspólne konferencye obu organizacyi. 5) Sprawę organizacyi okręgowych pozostawia się otwartą i przekazuje ją do opracowania komisyi bydłem rzeźnem przy Komitecie Towarzystwa. 6) Organizacya lokalna powinna się w pierwszym rzędzie opierać na Kółkach rolniczych, kasach Raiffeisena, spółkach rolniczych i związkach handlowych.

Emigracya do Brazylii.

Z powodu wzmożonej w ostatnim czasie działalności ajencyi emigracyjnych i pojawiających się w ślad za tem ostrzeżeń i uwag w pismach, ogłasza rząd austryacki informacye o stosunkach emigracyjnych w Brazylii, przestrzegając stanowczo przed emigracyą tamże. Informacye te brzmią:

Brazylijski rząd związkowy gorliwie się krząta, aby przyspieszyć dalszy rozwój osadnictwa kraju przez zyskanie nowych osadników. Do pożądanych emigrantów liczą także austryackich kolonistów

mianowicie rodziny chłopskie. W następstwie tego rozwija się żywa propaganda za emigracyą do Brazylii. Ze względu na tę propagandę trzeba zwrócić uwagę, że Brazylia wogóle dla austryackich wychodźców — tak dla osadników, jak również robotników — obecnie nie jest korzystnym krajem dla emigracyi. Wobec przyrzeczeń i ofert tych zakładów albo osób, które pracują w interesie pozyskania wychodźców, jest wskazana wielka ostrożność. W szczególności powinniby ci, którzy się decydują emigrować na podstawie uczynionych im przyrzeczeń — starać się w każdym razie o to, aby te przyrzeczenia dane były pisemnie i w takiej formie, któraby umożliwiała zobowiązanie samego rządu brazylijskiego, albo conajmniej większego krajowego zakładu lub firmy zajmującej się sprowadzaniem emigrantów do Brazylii.

W tej pisemnej umowie powinno by być dokładnie oznaczone to państwo, względnie okolica

Polowanie na ludzi.



Bandyci rosyjscy w Londynie.

Brazylii, w której mają być wychodźcy osadzeni; zwłaszcza zaś powinien by być tej umowie określony obowiązek rządu brazylijskiego względem wyż wspomnianego przedsiębiorstwa, aby tym emigrantom, którzy w przeciągu jednego roku po przybyciu do Brazylii z usprawiedliwionych powodów chcieliby wrócić do domu, zapewnić powrót bezpłatny. Możnaby też żądać, aby rozstrzyganie o słuszności powodów przemawiających za powrotem przysługiwało sądowi rozjemczemu, utworzonemu z reprezentanta odnośnego c. i k. konsulatu austryackiego, reprezentanta rządu brazylijskiego i ewentualnie trzeciego bezpartyjnego członka.

Co się tyczy poszczególnych brazylijskich Stanów związkowych, to stosunkowo jeszcze najwięcej odpowiednie są dla osiedlenia się poddanych austryackich stany południowe Parana, Santa Catharina i Rio Grande de Sul z powodu klimatu i gleby. W krajach tych istnieją także największe i najjednolitsze kolonie galicyjskich wychodźców. Większe polskie kolonie istnieją w Paranie, w Santa Catharina jest silniej reprezentowany żywioł niemiecki. Jednak trzeba na to zwrócić uwagę, że osadnicy w tych stanach nie otrzymują gruntów w drodze darowizny i koniecznem jest aby osadnik przywiózł kapitał conajmniej 1000 koron. Nie zaleca się przywozić tutejszych pieniędzy papierowych, albowiem w Brazylii tylko z trudnością i ze stratami można je zmienić. Imigranci powinni mieć gotówkę w monetach złotych (angielskich) i za nią już w podróży, najlepiej w Rio de Janeiro, albo w Santos kupić złoto brazylijskie.

Szczególna ostrożność byłaby wskazaną przy werbowaniu osadników do pewnych, dopiero niedawno założonych kolonij w stanie Parana. Nieraz się zdarzało, że wysłano osadników do tych kolonij, zanim jeszcze ukończono prace pomiarowe i zbudowano domy, tak, że koloniści miesiącami musieli mieszkać wśród niekorzystnych warunków i narażać się na wielkie niedostatki zaraz na początku swego osadnictwa.

Odnosi się to w szczególności do wielkiej związkowej kolonii Miguel Calmon, dalej do kilku mniejszych kolonij koło Ypiranga i Iraty, między niemi także kolonii Xavier da Silva, która ma objąć kilka setek polskich i ruskich rodzin. W stanie San Paulo mogą imigranci tylko pod ściśle oznaczonymi warunkami i założeniami liczyć do pewnego stopnia na lepszy byt. Imigranci, którzy nie przywiozą żadnych śródków pieniężnych, są przeważnie zmuszeni szukać utrzymania jako wyrobnicy w plantacyach kawy. Ta praca nie jest jednak odpowiednia dla au tryackich wychodźców, a obecnie jest mniej popłatna niż kiedykolwiek, ze względu na panujące przesilenie. Przy osiedlaniu się w kolonii stanowej, musi osadnik kupić ziemię, której cena jest dość wysoka i złożyć pierwszą ratę wynoszącą od 150 do 500 kor. Oprócz tego musi kolonista na pierwsze miesiące posiadać w gotówce co najmniej jeszcze drugie tyle. Rozumie się samo przez się, że uprawianie ziemi wymaga wiele pilności i wytrwałości; tylko istotnie doświadczeni rolnicy, przyzwyczajeni do bardzo ciężkiej pracy i bardzo wytrwali, mają jakieś widoki powodzenia. Stan Minas Geraes, za którym w ostatnim czasie rozwinięto również żywą propagandę, jest obszarem nie nadającym się do osadnictwa, wskutek czego wiele kolonij tam zniszczało.

POLOWANIE NA LUDZI.

(Patrz rycinę).

Niezwykle zuchwały zamach, którego epizody sprawiają wprost wrażenie fantastycznej powieści, został wykonany w Londynie. Widownią krwawych zajść, których ofiarą padło prócz obu sprawców zamachu, dwóch zabitych i piętnastu rannych, były przedmieścia londyńskie Tottenham i Walthamstow.

Około godziny 9 rano przyjechał do fabryki wyrobów kauczukowych Schurnmanna, jak w każdą sobotę, kasyer Albert Keywort, z kwotą 2.500 fr. na wypłatę robotników. Towarzyszył mu palacz samochodu Wilson. Samochód zatrzymał się przed bramą fabryki. W chwili,

gdy kasyer wysiadł, nagle rzuciło się na niego dwóch Rosyan, dawnych robotników fabryki, którzy — jak się okazało — oczekiwali przy wejściu już od pół godziny. Jeden z bandytów wyrwał mu z ręki worek z pieniądzmi, drugi strzelił z rewolweru do furmana, spieszącego kasyerowi z pomocą. Kula zraniła go lekko. Tymczasem bandyci zaczęli uciekać, unosząc pieniądze i strzelając z rewolwerów.

Na krzyk Wilsona wybiegł z fabryki urzędnik biurowy Powell i kilku robotników, nadbiegło też dwóch policyantów z pobliskiego posterunku. Ścigający puścili w ruch automobil i ruszyli za uciekającymi bandytami, którzy strzelali bez przerwy. — Gdy jakiś młody człowiek chciał im zastąpić drogę, jeden z bandytów zmierzył do niego i położył go trupem na miejscu. Tymczasem pościg trwał dalej, furman odniósł drugą ranę od kuli. Zdawało się już, że bandyci wpadną w ręce ścigających, gdy nagle kula wystrzelona w samochód uszkodziła przyrząd sterowy i zmusiła samochód do zatrzymania się.

Ścigający zaczęli biedz pieszo, liczba ich zwiększała się co chwilę przechodniami i posterunkami policyjnymi. Bandyci odwracając się strzelali bez przerwy. W Tottenham Hill odniósł od kuli śmiertelną ranę jeden policyant; nieco dalej, około wybrzeża Ley, w którą to stronę skierowali się uciekający, zostali poranieni dwaj policyanci. W tej chwili liczba ścigających wynosiła już 50 ludzi. W pobliżu mostu Lock stał oddziałek strzelców z karabinami, zaczęto im dawać znaki, oni jednak nie wiedząc o co chodzi, pozwolili bandytom spokojnie biedz dalej.

Na moście strzelanina stała się bardzo żywa i to ze stron obu, ponieważ wśród ścigających znaleźli się ludzie mający broń przy sobie. Obaj Rosyanie, nie odniósłszy żadnej rany, zyskali nieco na odległości od pościgu. Przybywszy do Walthamstow, skierowali się w Chingford Read. Tutaj zatrzymali przejeżdżający właśnie tramwaj, jeden stanął na przedniej, drugi na tylnej platformie, groźbą rewolwerów zmusili motorowego i konduktora do ruszenia z miejsca i nakazali im jechać jak najszybciej naprzód. Przerażeni usłuchali rozkazu. Lecz ścigający nie tracili również czasu, wskoczyli do następnego wozu i rozpoczyła się po ulicach przedmieścia gonitwa dwóch tramwajów. W opanowanym przez bandytów tramwaju znajdowało się kiiku pasażerów, którzy jednak widząc skierowane ku sobie lufy rewolwerowe, również obawiali się ruszyć z miejsca. Jeden tylko młody człowiek próbował protestować, ale bandyta strzelił w tej chwili do niego, raniąc go w szyję.

Niedługo konduktor wpadł na doskonały pomysł. Wstrzymał nieco bieg wozu i zawołał pozornie nastraszony:

— Wysiadajcie panowie prędko, jeżeli nie chcecie być aresztowani. Tutaj obok znajduje się silny posterunek policyjny — który nie przepuści nas dalej.

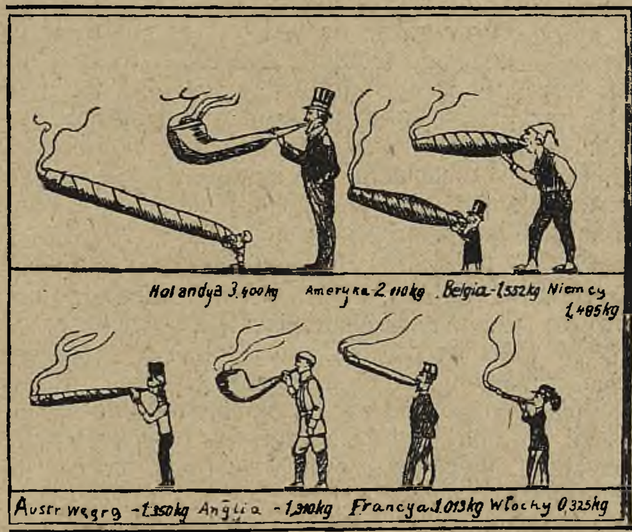
Bandyci uwierzyli tym słowom, kazali zatrzymać tramwaj i wysiadłszy, pobiegli w boczną ulicę. Tutaj zawładnęli wozem mleczarza, stojącym koło sklepiku i popędzając konia, uciekali dalej. Tymczasem pościg również wysiadł z tramwaju i skorzystawszy z trzech przejeżdżających właśnie samochodów, zaczął coraz bardziej zbliżać się ku bandytom. Koń ich dobywał ostatnich sił, mimo to odległość się zmniejszała. Ścigający strzelali ciągle, bandyci odpowiadali im strzałami. W tem miejscu ulica wznosiła się dość stromo do góry. Bandyci zrozumieli, że koń nie zdoła ich wyciągnąć, to też porzucili wózek i pieszo biegli naprzód. Jeszcze kilka strzałów, kilku rannych upadło na ziemię. Lecz bandyci widzieli już teraz, że nie zdołają się uratować. Skierowali więc broń ku samym sobie. Jeden z nich padł trupem na miejscu, drugi, raniony, schronił się w otwartą bramę domu, wybiegł na pierwsze piętro i ukrył się w jednem z mieszkań. Gdy ujrzał, że wykryto jego kryjówkę, strzelił powtórnie do siebie, raniąc się ciężko.

Ogółem liczba ofiar krwawego polowania na bandytów, wyniosła 2 zabitych i piętnastu rannych, z których pięciu znajduje w szpitalu. Ranny bandyta żyje jeszcze, umieszczono go również w szpitalu. Stwierdzono, że jest to niejaki Paweł Helfeld z Rygi; zabity bandyta był znanym rewolucyonistą, Rosyaninem, mającym pseudonim Jakób.

Policya wdrożyła natychmiast energiczne śledztwo. Jak się zdaje, sprawcy należeli do szeroko rozgałęzionej bandy anarchistów. Czy działali oni z własnego popędu czy z polecenia kierującego komitetu bandy, dotąd niewiadomo jeszcze, policya zamierza jednak przedsięwziąć podobno kilka aresztowań osób podejrzanych o związek z zamachem na kasyera.

Wśród opinii publicznej obudziło zajście ogromne wzburzenie. Głośne są zarzuty, skierowane przeciw policyi, że zbyt względnie postępowała z politycznymi zbrodniarzami i zbiegami z Rosyi, którzy obecnie liczą się na tysiące i których działalność wymagałaby koniecznie ścisłej kontroli. Wszystkie też pisma wskazują na groźne niebezpieczeństwo udzielania gościnności podobnym osobnikom, których przykład może też wpłynąć zaraźliwie na rozwój lokalnej zbrodniczości. Czas, twierdzą, ograniczyć wielkoduszność angielską wobec niebezpiecznych cudzoziemców.

Z dymem.



Ile gdzie palą? (Patrz „Nasze ryciny“).

Rolnicy! Rozszerzajcie „Rolę“ wśród Znajomych i Przyjaciół! Piszcie komu wysyłać numery na okaz!

Cudowny Pan Jezus
u fary w Warszawie.

W kościele katedralnym św. Jana, czyli w farze staromiejskiej w bocznej kaplicy koło prezbiteryum, zwykle od rana do wieczora modlącemi się napełnionej, znajduje się z drzewa wyrzeźbiona figura ukrzyżowanego Zbawiciela naturalnej wielkości, słynąca z dawna licznemi cudami. Warszawianie na wspomnienie tej katedry zwykli byli mówić:

U fary,
Gdzie Pan Jezus stary.

W ustach ludu przechowało się niejedno podanie, odnoszące się do tej cudownej figury, z których kilka przytoczyć tu chcemy.

Kiedyś, podczas wojny z Turkami, wojownik jeden, rodem z Warszawy, dostał się w niewolę niewiernych. Zaprowadzony do stolicy tureckiej, został tamże przeznaczony do służby przy sułtańskich koniach. Przy studni, u której konie poił, stała niedaleko wbita w ziemię figura męki Chrystusowej, do której Turcy swoje bydlęta wiązali, bluźniąc jej, plwając i smagając biczami. Zamierało na ten widok serce pobożnego mazura ze zgrozy, i umyślił sobie raz przecie położyć koniec pogańskiej swawoli. Jednego tedy wieczora, gdy nikt nań nie zważał, pobiegł omackiem do studni, a wykopawszy krzyż z ziemi i ucałowawszy nogi Zbawiciela, rzucił go w głęboką studnię mówiąc:

— O Jezu mój! toć lepiej zginąć w wodzie wizerunkowi Twemu, aniżeli cierpieć zniewagę i urągowisko bezbożnych nieprzyjaciół Twoich!

W kilka lat później uwało mu się szczęśliwie uciec z niewoli i do rodzinnego powrócić miasta. Tu dnia jednego, siedząc w oknie swego domu, posłyszał na ulicy zgiełk niezmieny biegnącego tłumnie ludu. Wychyliwszy się więc pytał, co się takiego stało?

— Cud, cud na Wiśle pod zamkiem — odpowiedzieli z ulicy biegnący.

Więc i on, wyszedłszy z mieszkania, podążył tam za innymi. Na brzegu rzeki tłuszcza niezliczona narodu wszelakiego, klęcząc z odkrytemi głowy, modliła się głośno do Boga wobec widomego cudu: bo oto Wisłą, środkiem najsilniejszego prądu, krzyż z Wizerunkiem Chrystusa płynął przeciw wodzie, w postawie stojącej, jakby na ziemi.

Biskupi od św. Jana z duchowieństwem całem w uroczystych szatach, z zapalonemi świecami, wsiedli do promu, chcąc płynąć na przyjęcie cudownego gościa; pomimo jednak ciszy zupełnej w powietrzu i usiłowań najlepszych przewoźników, żadną miarą ku niemu zbliżyć się nie mogli.

Ów zbiegły jeniec turecki poznał od razu krzyż ten sam, który do studni był wrzucił. Stanąwszy tedy przed biskupem, opowiedział mu rzecz całą. Gdy zaś na rozkaz biskupi, siadszy w łódź, odbił od brzegu, cudowny wizerunek sam podpłynął doń i pochylił się w jego ramiona. Tak więc na brzeg wyniesiony, że czcią niezmierną i radością mieszkańców do fary zaprowadzony i umieszczony został w ołtarzu, w którem po dziś dzień, z mnogich cudów słynie.

Z czasem ołtarz ten okrył się licznemi dary pobożnych, głowę Chrystusa przyozdobiła korona z brylantów. Zdarzyło się raz, że pewien złodziej, skuszony chciwością, zakradł się wieczorem do kaplicy, a w nocy, wszedłszy na ołtarz, ściągnął kosztowną koronę ręką świętokradzką. Lecz gdy z nią chciał zejść na ziemię, ręka cudownego posągu pochwyciła go za jeden włos tylko; przerażony złoczyńca próżno silił się uwolnić, i jakby najtwardszym przykuty łańcuchem, pozostał na ołtarzu do białego dnia.

O świcie dziadek kościelny, przyszedłszy zapalić świece do mszy, spostrzegł go i dał znać do księży. Zbiegło się zatem duchowieństwo całe i wielka ilość mieszczan z poblizka, a oburzeni zuchwałą zbrodnią, zaczęli ściągać złoczyńcę, chcąc oddać go na ukaranie.

Lecz próżne były wszelkie wysilenia, włos, w ręku Chrystusa pozostały, nie dał się ani zerwać, ani mieczem rozciąć, ani płomieniem przepalić. Radzili tedy jedni: słomą ze smołą obwinąwszy spalić; inni — kleszczami żelaznemi szarpać.

A ja zaś sądzę — odezwał się z tłoku chłop sędziwy, na targ do miasta przybyły — woli go Bożej zostawić, jeśli ukarać go zechce, bez ludzkiej zdolen uczynić to pomocy; a jeśli przebaczyć woli, to jakżeż mu się przeciwić godzi.

— Prawda twoja ojcze — wykrzyknęli wszyscy obecni — niechaj się stanie jak On rozsądzi.

I oto nagle rozerwały się zaciśnięte palce posągu, wolno puszczając grzesznika, dając znak narodowi o nieskończonem miłosierdziu boskiem.

Złodziej, skruszony łaską doznaną, odpokutował zeszłe występne życie i stał się odtąd cnotliwym człowiekiem.

KRONIKA.

Nasze ryciny. Do obrazka przedstawiającego polowanie na ludzi, dajemy osobne objaśnienie; druga rycina przedstawia zużycie tytoniu w różnych krajach. Widzimy z niej, ile pieniędzy idzie z dymem na marne. Wielkość figurek ludzkich wyobraża ilość ludności danego kraju, wielkość cygara przedstawia ilość wypalonego tytoniu, cyfry oznaczają ilość kilogramów tytoniu na głowę.

Odznaczenie szkoły ogrodniczej. Krajowa szkoła ogrodnicza w Tarnowie otrzymała na wiedeńskiej jubileuszowej wystawie ogrodniczej za kolekcyę doborowych owoców najwyższe odznaczenie, dyplom honorowy.

Schwytanie zbrodniarzy. Policya krakowska złapała już morderców, którzy pozabijali i okradli karczmarzy Ferberów w Paczółtowicach. Są nimi: Józef Bilski z Królestwa i Jan Goryl z Krowodrzy pod Krakowem. Schwytani opowiadają przebieg ohydnej zbrodni w takich słowach:

Wybrali się, obmyśliwszy mord, z Krakowa do Krzeszowic, gdzie przybyli o godz. 7 minut 29 wieczorem, udali się pieszo do Paczółtowic. Noc była ciemna, szli powoli i omawiali szczegóły rabunku. Już po drodze postanowili, że bez rozlewu krwi się nie obejdzie i zdecydowali się na spełnienie morderstwa. Liczba osób nie wchodziła w rachubę. Bilski miał powiedzieć: „Kto nam wejdzie w drogę, tego uprzątniemy, a pieniądze mieć musimy; na darmo takiej drogi nie myślę robić“. Do Paczółtowic przybyli około godz. 9 wieczorem i zajęli stanowisko obserwacyjne w pobliżu karczmy, czekając, aż wyjdą z niej wszyscy goście.

Nastąpiło to zaraz po po godzinie 8. Gdy się uciszyły kroki ostatniego gościa, poczekali jeszcze blisko pół godziny. Bilski nie chciał dłużej czekać i pociągnął Goryla za sobą do karczmy, opatrzywszy poprzednio rewolwer i włożywszy go do kieszeni wierzchniego ubrania.

W izbie karczemnej zastali służącą, siedzącą przy stole, a Ferbera stojącego za ladą, rozebranego z wierzchniej odzieży. Goryl podaniem ręki przywitał się z Ferberem, jako dobrym znajomym, przedstawił mu Bilskiego pod zmyślonem nazwiskiem i zażądał śliwowicy. Po wypiciu pierwszej „kolejki“ i spożyciu kawałka bułki jako zakąski, zażądał drugiej „kolejki“. Podczas nalewania Bilski sięgnął ręką do kieszeni, wydobył niepostrzeżenie rewolwer, błyskawicznym ruchem skierował go w głowę Ferbera i wypalił. Szynkarz, jakby rażony gromem, padł na ziemię, nie wydawszy jęku. Na huk strzału wybiegła Ferberowa ze sypialni. Zaledwie otworzyła drzwi od karczmy i wydała okrzyk na widok trupa męża, Bilski dał do niej dwa strzały, które spowodowały natychmiastową śmierć. Służąca zaraz po pierwszym strzale próbowała uciec do drugiej izby; w czasie ucieczki zamordował ją Goryl strzałami z rewolweru.

Z zimną krwią zabrali się wspólnicy zbrodni do rabunku. Obrabowali nie tylko mieszkanie, ale zrewidowali trupa Ferbera i zabrali mu zegarek. Zabrali także będące w domu kosztowności i gotówkę, dotąd nieustaloną. Bilski ubrał się we futro, czapkę i spodnie Ferbera. Odbyto naradę, czy wracać koleją do Krakowa, czy też wynająć gdzie w sąsiedztwie furmankę. Dla ostrożności zadecydował Bilski, że pojawienie się na dworcu mogłoby sprowadzić na kark żandarma, a wynajmowanie furmanki naprowadziłoby na ich ślad. Postanowili ostatecznie odbyć pieszo drogę z Paczółtowic do Krakowa. O godz. 6 rano byli już w mieszkaniu Goryla, gdzie nastąpił podział łupów.

Policyi po przyznaniu się Goryla zależało na wyszukaniu dowodów winy i zrabowanych kosztowności oraz pieniędzy. Goryl odmawiał wszelkich wskazówek. Kilkugodzinna najskrupulatniejsza rewizya w mieszkaniu nie przyniosła skutku. Zauważono tylko nieznaczne ślady jakichś świeższych operacyj w ścianie około pieca. Tynk był nieregularny. Przystąpiono więc do zbadania podejrzanego punktu, zarządzono wydobycie rumowiska i odkryto zasłonięty cegłą głęboki otwór. W otworze leżały zrabowane w Paczółtowicach kosztowności: złoty damski zegarek Ferberowej, złoty długi łańcuch damski, broszka z opalem i rubinem, branzoleta złota i 100 koron w złotej monecie, pokrytej drobnemi plamami, przypominającemi krew. Poszukiwano dalej zrabowanej gotówki. Goryl i jego żona odmówili wszelkich wyjaśnień. Przedsięwzięto na chybił trafił rewizyę włosów Gorylowej i wśród nich znaleziono w banknotach 1140 koron. Banknoty były przykryte starannie w różnych punktach głowy splotami włosów, na które Gorylowa miała narzuconą chustkę.

Zbrodniarze są już w więzieniu. Rozprawa odbędzie się prawdobnie jeszcze w tym miesiącu.

„Leopolis“. Z Tryestu donoszą, że budowa parowca „Leopolis“ (po łacinie: Lwów) austryackiego Lloydu jest na ukończeniu; parowiec ten z końcem marca rozpocznie służbę. Lloyd zamówił celem przyozdobienia parowca 5 obrazów o motywach polskich. Obrazy przeznaczone do sali jadalnej, przedstawiają miasto Lwów i wesele polskie. Do salonu dla palących przygotowany będzie album ze zdjęciami fotograficznemi głównych miast i miejscowości w Galicyi, oraz typów ludowych. Dyrekcya Lloydu zamierza, o ile to będzie możliwe, umieścić w salonie wyroby przemysłu galicyjskiego.

Przeklęta wódka! W Krakowie odbyła się smutna rozprawa przed sądem karnym. Na ławie oskarżonych zasiadło 6 młodych ludzi, obwinionych o zbrodnię gwałtu publicznego. Według aktu oskarżenia, d. 27 października z. r. odbywało się wesele u Jędrzeja Kleszcza w Chodenicach (pow. bocheński). Około północy przyszli przed dom Kleszcza wszyscy obwinieni: 16-letni Jan Pałkowski, 17-letni Stefan Jochym, 18-letni Stanisław Siwy, Józef Pałkowski i Władysław Siwy, 21-letni Józef Kaczmarczyk. Palili papierosy, a ponieważ mogli wywołać pożar, przeto. Kleszcz kilkakrotnie upominał ich, aby zaprzestali palenia Młodzi ludzie zaczęli popychać Kleszcza i przez otwarte okna rzucać kijami na weselnych gości; następnie z wyrwanemi z płotu sztachetami rzucili się na gospodarza, wybili okna, wpadli do izby, porozbijali szklanki, lampę, stoliki.

Wszyscy obwinieni tłómaczyli się pijaństwem! Jeden z nich był tak pijany, że go po „batalii“ trzeba było odnieść do domu. Trybunał po przeprowadzonej rozprawie uwolnił obwinionych od oskarżenia o zbrodnię gwałtu, a za przekroczenie pijaństwa skazał Kaczmarczyka na 7 dni aresztu z zamianą na grzywnę, Jana Pałkowskiego na 10 dni, inni obwinieni otrzymali po 7 dni aresztu, z wyjątkiem Władysława Siwego, który został uwolniony.

Stypendya rolnicze. Wydział krajowy nadał następujące wakujące stypendya, przeznaczone dla uczniów szkół rolniczych: Z fundacyi Tomasza Bodziocha: Kazimierzowi Aleksandrowi Jerzemu 3-ga im. Nadachowskiemu w Czernichowie 200 kor. Z fundacyi Napoleona Jeleńskiego o rocznych 400 kor. Kazimierzowi Waleryanowi 2-ga im. Sawickiemu w Czernichowie. Z fundacyi Dominika Bochdanowicza (200 kor.): Bronisławowi Józefowi 2-ga im. Staniszewskiemu w Dublanach, oraz takie same stypendyum Tadeuszowi Janikowskiemu w Dublanach. Z fundacyi X. Jana Kucharskiego o rocznych 600 kor.: Władysławowi Orłosiowi w Dublanach. Wszystkie te stypendya nadane zostały na czas od początku roku szkolnego 1908/9 aż do prawidłowego ukończenia nauk w zakładach rolniczych i pod warunkiem dobrych postępów w naukach.

Pochwalanie Siczyńskiego. Dnia 21 z. m. odbyła się przed trybunałem sądowym w Stryju rozprawa przeciw Ostapowi Kaczmarskiemu ze Sławska. Oskarżyła go prokuratorya państwa o występek pochwalania czynu karygodnego, t. j. zabicia namiestnika Potockiego. Zasądzono go na sto koron kary, na podstawie zeznań żandarma z Ławocznego.

Katowanie w szkołach pruskich. Przed izbą karną w Poznaniu toczył się proces przeciw nauczycielowi szkoły średniej Hermanowi Schulzowi, oskarżonemu o znęcanie się nad uczniami Alfredem Opitzem, Karczmarkiem i Gotfrydem Güntherem. Prócz rektora i nauczyciela tej szkoły, rodziców katowanych dzieci i pastora, zawezwano jako świadków 20 uczniów oraz jako rzeczoznawców dra Kukulego, dra Kunaua, dra Koracha i dra Jeremiasza. Koledzy i przełożeni Schulza uważają go za surowego i skłonnego do nadmiernej chłosty. Bywał często przestrzegany, grożono mu nawet wdrożeniem procesu dyscyplinarnego, gdyby nie zaniechał bicia. Pomiędzy rodzicami panowało wielkie oburzenie na Schulza, zamierzano nawet zwołać zebranie ojców katowanych dzieci. Oskarżony przeczył, jakoby miał przekroczyć miarę dozwolonej chłosty szkolnej.

Zeznania świadków wykazały, że oskarżony uderzył Alfreda Opitza trzcinką w dłoń tak silnie, że rozłupał paznokieć wielkiego palca. W maju 1906 r. obił Karczmarka tak, że chłopiec miał na palcach 12 pręg krwią nabiegłych i sińców. Rektor Weyman pokazał oskarżonemu obnażonego chłopca i w obecności nauczycieli nazwał takie obchodzenie się nie karą szkolną, lecz znęcaniem się, grożąc procesem dyscyplinarnym. Ucznia Günthera, spokojnego i wzorowego a chorowitego chłopca, uderzył dłonią w twarz i kilka razy pięścią w kark i plecy, oraz kopnął nogą, aż upadł na ziemię. Chłopiec na drugi dzień zachorował i leżał od listopada 1907 r. do lutego r. z. I w wielu innych przypadkach oskarżony przekroczył miarę chłosty. Piętnastu chłopców zeznało prawie jednozgodnie o owych nadużyciach oskarżonego, który już dawniej był trzy razy dyscyplinarnie karany.

Prokurator zaznaczył, że oskarżony nie karał z powodów wychowawczych, lecz w uniesieniu i w złości, i w kilku przypadkach przekroczył świadomie i z rozmysłem prawo chłosty. Sąd skłaniając się do wywodów prokuratora, uwzględnił okoliczności łagodzące i uznał oskarżonego tylko w jednym przypadku winnym przekroczenia miary chłosty, względnie uszkodzenia cielesnego przez lekkomyślność i skazał go na 30 marek grzywny, względnie 3 dni więzienia oraz na poniesienie $^1/_4$ kosztów sądowych; $^3/_4$ ponosi kasa państwowa.

Majątek bez właściciela. Na drodze między Raibl i Tarvis znalazł w lecie 1907 r. parobek Franciszek Priesenezer pugilares z kwotą 60.000 koron. Pieniądze te ukrył i dopiero niedawno kupił grunt dla swojej siostry w pobliżu Celowca, drugiej zaś siostrze podarował kwotę 13.000 kor. Zwróciło to uwagę władz, które wdrożyły śledztwo i stwierdziły, że pieniądze istotnie zostały znalezione. Sprawa przedstawia się nader tajemniczo, bo mimo najusilniejszych poszukiwań nie odnaleziono nigdzie żadnego zawiadomienia o podobnej zgubie. Przypuszczają, że pieniądze te pochodzą z kradzieży lub rabunku, albo też są zapłatą w pewnej aferze szpiegowskiej. Tylko w tym wypadku można zrozumieć, że posiadający je nie zawiadomił władz o zgubie, aby nie zwrócić na siebie podejrzeń.

Pomysłowy szewc. W pewnem mieście koło Kijowa zaczęły się pojawiać weksle rozmaitych osób z ich autentycznymi podpisami, mimo że ludzie ci nigdy u nikogo nie pożyczali pieniędzy. Po długiem śledztwie udało się nareszcie odkryć tajemnicę. Oto szewc miejscowy brał zawsze miarę na buty wekslem odpowiednio złożonym, poczem prosił klienta o podpisanie się na miarze, co wszyscy chętnie czynili, nie przeczuwając, że w ten sposób podpisują weksel. W aferę tę wmieszani są trzej wspólnicy oszusta.

Polski bocian w Afryce. Południowo-afrykańskie pisma donoszą, że pewien kupiec otrzymał w marcu przeszłego roku od krajowców na północno wschodniej granicy puszczy Kalahari, mały pierścień aluminiowy, na którym wyryte były słowa: „Vogelwarte Rossiten, Germania 769“. Krajowiec objaśnił, że pierścień ten otrzymał od pewnego Buszmana, mieszkającego w głębi puszczy. Opowiadał przytem, że pewnego dnia, kilku Buszmanów wybrało się w celu poszukiwania zwierzyny i korzonków na pożywienie, i w miejscu, w którem znajdowało się wyschnięte bagno, ujrzeli stado białych ptaków. Buszmani przysunęli się do nich niepostrzeżenie, aby kijami swymi na nie zapolować. Udało się im ubić jednego tylko, podczas gdy reszta uciekła. Zdobycz swą poczęli Buszmani skubać w celu urządzenia sobie smacznego obiadku, nagle jednak porzucili skubanego ptaka i z krzykiem: „to jest bóg“ uciekli. Mianowicie spostrzegli na nodze ptaka pierścień. Obawiając się zemsty domniemanego boga, przybiegli wystraszeni Buszmani do swej wsi i opowiedzieli tu swą przygodę. Na wieś padł strach, znalazł się jednak jeden odważnego serca, który kazał się zaprowadzić do zabitego ptaka i zdjąwszy mu z nogi pierścień, schował. Tą drogą dostał się ów pierścień w dalszym ciągu do rąk kupca.

W rezultacie okazało się, że zabity przez Buszmana „wielki biały ptak“ był, jak stacya ptasia w Rositten sprawdziła, bocianem, którego w dniu 17 lipca 1907 r. ubrano w ów pierścionek z numerem 769 w gnieździe na dachu domu p. Sobotki w Dąbrówsku, (powiat łęcki w Prusach wschodnich). Dla uczonych posiada fakt ten wielkie znaczenie, dowodzi bowiem, że wylęgłe nad Bałtykiem polskie bociany w swej wędrówce na zimę, docierają aż do ostatnich krańców Afryki południowej.

„Rola“ powinna znaleść się w każdym domu rolnika! Rozszerzajmy „Rolę“!

SKRADZIONE PLANY.

2) **Z życia wielkiego miasta.**

— Ani na chwilę. Są tam jeszcze do tej pory. Worsfeld sam powiedział, że lepiej, by nie opuszczali pokoju, nim się nie podejmie pierwszych kroków celem zbadania tajemnicy. Nie podejrzywam, jak powiedziałem, ani jednego, ani drugiego, zgodziłem się jednak na to, aby ich samych uspokoić.

— Dobrześ pan zrobił. Czy oddajesz mi tę sprawę?

Inżynier skinął głową z pośpiechem.

— W takim razie udam się natychmiast do pańskiego biura. Przedewszystkiem jednak może zechce pan udzielić mi paru wyjaśnień co do swych pomocników. W ich obecności nie dałoby się to może uskutecznić tak, jak mi potrzeba. Niech więc zechce pan powiedzieć mi coś naprzykład o Worsfeldzie.

Dixon skinął głową na znak zgody.

— Zatem — jest to mój rysownik, zdolny, bardzo zdolny człowiek, mojem zdaniem, genialny niemal, a wyższy nad wszelkie podejrzenia. Od lat dziesięciu prawie pracuje u mnie, rysował dziesiątki ważnych rzeczy i zawsze odnosiłem się do niego z zupełnem zaufaniem i słusznie, jak się okazało. Co prawda, pokusa w tym razie była bardzo wielka i nie można jej za nisko oceniać, A jednak trudno mi rzucić podejrzenia na Worsfelda. Jak zresztą miałbym prawo podejrzywać kogokolwiek w warunkach, jakie panu przedstawiłem i jakie wykluczają wszelkie podejrzenia!

— A drugi pomocnik?

— Nazywa się Ritter. Ten nie rysuje sam, lecz kopiuje za pomocą różnokolorowych „kalk“. Człowiek młody, bardzo uczciwy pracuje u mnie od lat dwóch. Nie jest zbyt sprytny, gdyż gdyby był, nauczyłby się i w tym krótkim czasie więcej, niż umie. Zresztą, muszę dodać, również nie mam prawą

podejrzywać go o cokolwiek, gdyż przy najlepszej chęci nie miałbym na to żadnych danych.

— Dobrze, dobrze. Teraz udajmy się do biura. Po drodze dowiem się może jeszcze innych ciekawych szczegółów.

Inżynier powstał, Hewitt uczynił to samo.

— Powóz mój czeka na dole — oświadczył Dixon. — Nie wiem jednak, co będę miał panu więcej do opowiedzenia?

Hewitt uśmiechnął się.

— Sprawa zatem, jeżeli się nie mylę, miała obrót taki: plany były w biurze, gdy pan przyszedł. Nikt nie wchodził, nikt nie wychodził, a jednak rysunki zniknęły. Czy nie tak?

— Tak jest. Skoro mówię, że nikt nie wchodził, to muszę dodać, że był listonosz, lecz tego chyba się nie liczy. Przyniósł z poczty kilka listów; było to z rana. Mówiąc, że nikt nie wchodził, mam na myśli, że żywa dusza nie weszła za kratę do do biura. Wie pan, jak takie pokoje są urządzone: stoi rodzaj stołu, przed nim zaś krata z zamykanemi drzwiczkami.

— Wiem, wiem. Powiedziałeś pan jednak, że plany były w szufladzie, w pańskim pokoju, nie w biurze, gdzie prawdopodobnie siedzą rysownicy.

— Tak jest. Siedzą w pokoju, który idzie równolegle z drugim, łącząc się z nim tak, jak pański pokój, który opuściliśmy przed chwilą.

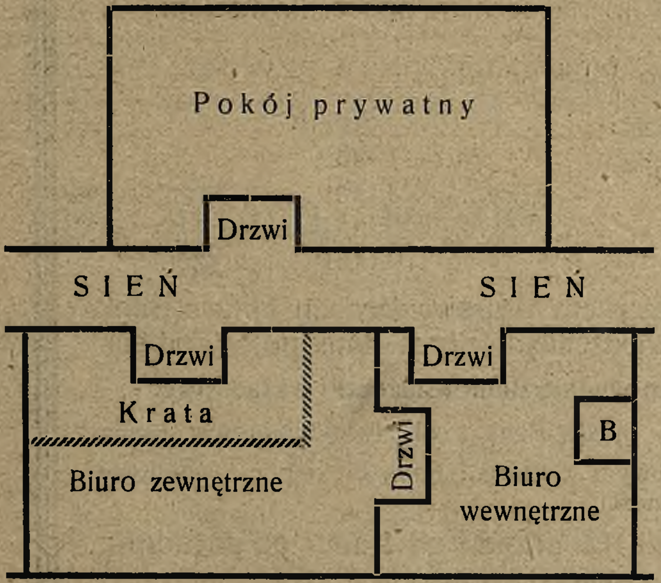
Hewitt potrząsnął głową.

— Ależ przed chwilą mówiłeś pan, że nie opuszczałeś biura ani na chwilę, a rysunki mimo to zniknęły tak jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Jakżeż to było?

Powóz toczył się lekko po asfalcie, inżynier dobył z kieszeni ołówka i papieru.

— Obawiam się, że opowiadanie me było nieco niejasne, jestem bowiem bardzo wzruszony, to rzecz prosta, jak sam pan za chwilę zobaczysz, biura moje składają się z trzech pokoi, dwóch po jednej stronie korytarza, jednego po drugiej stronie naprzeciw. Rozkład przedstawia się tak:

I inżynier narysował następujący plan.



Rysownicy moi pracują zwykle w biurze zewnętrznem, ja sam w wewnętrznem. Dwa te pokoje, jak pan widział, łączą się za pomocą drzwi. Zwykle wychodzimy i wchodzimy przez biuro zewnętrzne, tak, że chcąc dostać się do biura zewnętrznego, czy wewnętrznego, musimy jednakowo przejść przez kratkę z drzwiczkami we środku. Drzwi natomiast, wiodące z wewnętrznego biura do sieni, są zwykle zamknięte na klucz od wewnątrz i otwieram je co najwyżej raz kwartał. Dziś z rana nie otwierałem ich z pewnością, Biurko, w którego szufladzie znajdowały się rysunki i w którem widziałem je jeszcze o dziesiątej z rana, znajduje się na miejscu, oznaczonem literą B. Jest raczej wielka skrzynia z płaskiemi przegródkami, w których plany leżą zupełnie płasko.

— Rozumiem. Teraz pozostał nam jeden pokój prywatny, leżący naprzeciw, po drugiej stronie sieni. Niech mi pan zechce powiedzieć, jak się rzecz ma z nim?

— Jest to pokój prywatny. którego używam tylko do rozmów, gdy chodzi o zachowanie tajemnicy. Mówiąc, że nie wychodziłem z biura, nie chciałem przeto powiedzieć, iż wogóle nie opuszczałem biura wewnętrznego. Przeciwnie wyszedłem raz na pięć minut do prywatnego swego pokoju, lecz do biura nikt tymczasem nie wszedł i nikt zeń nie wyszedł. Mogę to stwierdzić, gdyż drzwi do pokoju prywatnego były przez cały czas mej bytności otwarte na oścież. Wyjmowałem sobie książkę z szafy i widziałem wszystko coby się dziać mogło w drzwiach do biur prowadzących. Przez cały prawie czas Worsfeld stał w drzwiach zewnętrznego biura i pytał mię o coś; ile sobie przypominam, szło mu o jakieś wyjaśnienia.

— W takim razie musimy się ograniczyć w badaniach co do terenu. Zatem pan wiesz na pewno, iż nikt nie wchodził do biura, ani zeń nie wychodził, prócz listonosza, że nikt nie mógł dostać się do rysunków. A jednak zniknęły!...

Hewitt zamyślił się. Ocknął się dopiero, gdy powóz przystanął przed wielkim domem z ciosowego kamienia. Obaj weszli na schody. Hewitt obejrzał każdy pokój pobieżnie, otworzył drzwiczki w kracie i nie zamknął ich z powrotem. Potem udał się wraz z inżynierem do wewnętrznego biura i usiadł,

— Czy chcesz pan pomówić z Worsfeldem i Ritterem? — zapytał Dixon.

— Później. To są ich palta, nieprawda?

Wskazał na dwa palta, wiszące obok kapeluszy i lasek na sztelażu.

— Tak jest.

— Czy przeszukiwałeś je pan?

— Naturalnie. Jak najdokładniej.

— A to jest owa szuflada, czy raczej przedziałki, w których leżą rysunki. Przeszukane?

— Bez wątpienia. Każdą wyjąłem i przetrząsałem do dna.

— Przypuszczam, że nie popełniłeś pan w swych poszukiwaniach żadnej opieszałości, ani pomyłki. Ale muszę wiedzieć jeszcze jedno: czy ktoś prócz pana i tych dwóch rysowników wie coś o planach, które zniknęły?

— O ile sądzę, nikt nie wie niczego.

— Nie masz pan służącego, chłopca na posyłki?

— Nie, Zresztą nie miałbym nic do roboty. Gdy trzeba tu lub tam zanieść jaki list. Ritter sam to robi.

— Skoroś pan taki pewien, że plany były jeszcze o dziesiątej na miejscu, to okoliczność jest

obojętną. Chciałbym jednak dowiedzieć się, czy pracownicy pańscy mają klucze od biura?

— Ani jeden, ani drugi niema klucza. Przy wszystkich drzwiach jest przytwierdzony jeden i ten sam zamek sztuczny, a klucze są wszystkie u mnie. Gdyby Ritter lub Worsfeld przyszli tu kiedy przedemną zrana, musieliby czekać, abym ich wpuścił. Przy sprzątaniu jestem zawsze sam. Nie pomijam żadnego środka ostrożności, jak pan widzi.

— Tak jest. Zdaje mi się, że przyczyna kradzieży, jeżeli tu o kradzież będzie szło, przedstawia się jasno. Złodziej chciał sprzedać plany któremuś z rządów obcych mocarstw.

— Oczywiście. Dostałby za to ładną sumkę. Jak pan się domyśla, spodziewałem się po tym wynalazku wielkich korzyści. Rzecz się ma jednak tak, że na nim opierałem całe swe plany finansowe. W razie gdyby mnie zawiodły, byłbym zrujnowany, tak zaś się stanie, gdyby plany dostały się za granicę. Admiralicya zobowiązała mnie do jak najściślejszej tajemnicy. Gdyby plany się nie znalazły, nie tylko straciłbym cały zarobek, lecz, co więcej, utraciłbym zaufania, jakie we mnie rząd pokładał. Musiałbym zresztą podpaść karze konwencyonalnej za złamanie kontraktu, los mój byłby zapieczętowany... Nie umiem panu powiedzieć, panie Hewitt, jak groźną jest dla mnie cała ta historya. Jeśli mi pan nie pomoże, jestem zgubiony. A i ojczyzna może wiele na tem ucierpieć.,.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Kornecki'ego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.